№ 23.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 15. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Jest odwieczna kłótnia pomiędzy teoretykami, a praktykami, pierwsi zarzucają drugim brak rozumienia rzeczy, stosunków i wypadków; drudzy zaś pierwszym, że wiedzą, co stoi po książkach, ale nie mają wyobrażenia o świecie. Niemasz wątpliwości, że równie jedni jak drudzy wpadają w błędy im wyrzucane, dla tego ani teoretyk, ani praktyk niejest człowiekiem skończonym, lecz tylko taki, co łączy i teoryą i praktykę. W ciasnych zawodach, n. p. budownictwie, medycynie, sztuce wojennéj, nieraz zdarzy się teoretyk z dostateczną praktyką, ale w rzemiośle rządzenia drugimi ludźmi, w prowadzeniu całego narodu umieć utrzymać w równowadze teoryę z praktyką, jest to coś wielkiego i niezwykłego; zdolność podobną, chyba tylko Napoleon i kilku zbliżających się do niego ludzi w całéj rozciągłości posiadali od czasu, który opisuje historya.

Pomiędzy teoretykami w dzisiejszych czasach toczy się spór największy i pewnie najważniejszy o teoryą i praktykę w przedmiocie społecznym. Niemasz wątpliwości, że pod tym względem więcéj panuje u teoretyków dobrych i szlachetnych celów oraz poświęceń, aniżeli znajomości rzeczy. Teoretycy społeczni popełniają pospolicie ten błąd, że uważają drugich ludzi, albo za zbyt dobrych, albo też za zbyt złych, a więc nie za takich jakimi są. Działanie zatém wszelkie oparte na ludziach, ale oczywiście na wymarzonych, a nie rzeczywistych, musi często chybiać. Kto zasadza swoje działania na ludziach jakimi być powinnni, a nie jakimi są w istocie, popełnia błąd i zawodzi się. Praktycy mają znowu inną i niemniejszą wadę, ponieważ oni tylko to oceniają, czego już w życiu swojém doświadczali, przeto ilekroć zdarza się jaki wypadek niecodzienny i przestronniejszego pojęcia rzeczy wymagający, natenczas zawsze biją przeciw niemu, i gdzieby pomagać powinni, tam się szkodliwymi stają. Praktycy w ogóle są zawsze daleko mniéj szlachetnymi od ludzi teoretycznych. Ostatni bowiem wierzą w doświadczenie drugich, w rozum podany w książkę, ci pierwsi zaś wierzą tylko w rozum swój, w wielkość swoją. Pod chorągiew praktyków cisną się też wszysey egoiści i ci, co o niczém sądzić nieumieją; którzy za ograniczeni, aby cokolwiek pojąć mogli, biegają na oślep za zyskiem. Jedni łowią pieniądze, aby przez ich marnotrawienie zniweczyć sobie zdrowie i zatruć życie, drudzy zaś gromadzą kupy złota, żeby przy nich prawie umierać z głodu, inni jeszcze ubiegają się za zaszczytami, które w oczach świata poniżenie im przynoszą. Między praktyków wciska się cała zgraja niedołęstwa duchowego. Odrzuciwszy fusy ze stronnictwa teoretycznego i praktycznego, ludzie ducha i cnoty ze stron obudwu dopełniają się na wzajem i wtedy wspólnie mogą stanowić taką, a nawet większą potęgę, jaką reprezentował Napoleon w swoim czasie. Rzecz rozumna jest każdemu zrozumiałą; przekręcić, ućmić ją może, chyba tylko egoizm. Rozum nikogo od egoizmu nieuratował, ale człowiek z dobrém sercem nigdy jeszcze egoistą niezostał. Chcąc pokładać zaufanie w ludziach, nietrzeba się pytać czy oni są teoretycy, czy praktycy, czy słyną z wielkich, czy z pomiernych zdolności, ale naprzód się pytać jaki sąd o ich sercu wydać należy. Obok dobrego serca dopiero przymioty dodatkowe rozum, teorya i praktyka stają się wielkim skarbem.

Czarny krzyż.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

„Tymczasem w pustych ruderach starego zamczyska, dziwne działy się rzeczy. Czy to sprawka djabelska, czy sztuka złych ludzi, ja tam tego rozsądzać nie myślę, dość, że na całą okolicę, nikt się tam zbliżyć nieśmiał. Bo jeśli jaki śmiałek podchodził ku górze, natychmiast witały go śmiechy, płacze, jęki, aż zgroza pomyśleć; potém ukazywały się widziadła, jakieś potwory, smoki, szatany i to nietylko w nocy, w biały dzień nawet. Sam raz widziałem jedno straszydło co mu głów policzyć nie mogłem. Ot, dobrodzieju! choć człowiek nie zającem podszyty, ale włos stanął dębem, wziąłem nogi za pas i lewo w tył — bo też to z piekielną mocą niema żartu.

„W téj porze jak to Waszmość musisz wiedzieć, ciągłe u nas zaburzenia co, Panie odpuść, w początkach najlepszy cel miało, to potém źli ludzie na szkodę bliźnich obracali. Tym sposobem pojawiły się rozboje, rabunki, że poczciwie zapracowanego grosza niemożna było utrzymać bezpiecznie. W naszéj okolicy gęściéj niż gdzieindziéj okazały się łupieztwa. Bywało, szlachcic pod dobrą datą jedzie sobie z jarmarku i szepcze plątającym się językiem: „Pod twoją obronę" a tu paf! wyskakuje kilku łotrów na drogę, zamaskowanych niby straszydła; próżno zaklinałeś, iż doma czeka żona i dziatki, próżnoś się i bronił, jeśli był czas po temu, zabrali wszystko bez litości. Szczęśliwy, jeśli choć na pół nago uszedłeś z duszą i ciałem! ale też to dziwna, i borów u nas wielkich nie było, choć nie tak jak teraz, co przy słomie chleb pieczemy; nie wiedziano, gdzie się ta chałastra kryła, bo nawet dwory szlacheckie najeżdżali i to huczno, zbrojno, po czterdziestu łotrów zbójeckiego rzemiosła.

„Wysłalić nasi podobno deputacyę do króla, tymczasem złe nieustawało. Rotmistrz, że jak nie próżno mówiono, miał szkatułę, przeto się opatrzył dostatecznie: przyjął pachołków, uzbroił, dom zatarasował i był prawie bezpieczny. Jednak, jeśli kogo ma Pan Bóg nawiedzieć, to się i pod ziemią nie ukryje. Ale że to już dość późno, przeto da Bóg doczekać jutra, Waszmości dokończę mojéj powieści; bo to starość nie radość, a komu w drogę to i czas."

Nie było co mówić, pożegnałem starca; niedługo słyszałem tylko cichy szmer pacierzy i westchnień kilka, a wreszcie i to umilkło.

Nazajutrz, powołany obowiązkami swego stanu, niemógł mi zaraz poczciwy staruszek dokończyć zaczętéj powiastki, a następnie znów były przerwy. Ja więc, żeby was nie nudzić, zebrawszy wszystko com słyszał, opowiem daléj:

Czy widzieliście kiedy dworek naszego dawnego szlachcica? Posłuchajcie: dwór rotmistrza nie był fortecą ani zamkiem, obronne jednak stanowił miejsce, bo otoczony wałem kamiennym i rowem, sam zbudowany z kamienia, mógł długi czas wytrzymać szturm napastnika, jeśli ten do jego zburzenia niemiał armaty. Ileż to w takich dworkach legło dzikich Tatarów lub Turków, napróżno nieraz wdzierała się rozjuszona tłuszcza na wielkie mury i wały.

Tak i dwór rotmistrza, choć w nowszym guście, starą jednak zbudowany formą i trwałością, mógł się nielękać rozbójników, zwłaszcza, iż zbrojni pachołcy strzegli go nieustannie. Jan, choć się już i pomiary skończyły, częstym był gościem w dworku rotmistrza, i nie raz długie pędził chwile z nadobną Jadwigą.

Jednego dnia, przed wieczorem, Jan siadł na kamiennéj ławce przed gankiem i w smutne pogrążył się dumania; w tém zatoczyła się czterokonna kareta przed dziedziniec, otwarto bramę i wysiadł z cudzoziemska ubrany mężczyzna, nadzwyczaj podobny do Pawła. Już Jan miał się rzucić w objęcia brata, gdy ten wejrzawszy dumnie, rzekł:

— Rotmistrz w domu?

Jan skinął głową.

— Proszę mu donieść, iż starościc Lachowski pragnie się z nim widzieć. — Na te słowa wyszedł Rotmistrz.

— Czemuż mam przypisać szczęście oglądania w mym domu dostojnego gościa? lecz razem proszę do komnaty.

I weszli.

— Ot, mój miłościwy rotmistrzu! król raczył mi osobiście polecić zwiedzenie tych stron, rozpoznanie miejscowości, a ja przejeżdżając, niemogłem sobie odmówić przyjemności uściskania wielce mnie miłościwego pana Rotmistrza i odnowienia przypadkowéj znajomości.

Skłonił się rotmistrz, w téj chwili weszła Jadwiga.

Uprzejmy kawaler grzecznie ją powitawszy, rzekł do rotmistrza:

— Że też to pan rotmistrz taki skarb kryje na wsi?... Do stolicy, mościwy panie, do stolicy! tam oddadzą należny hołd wdziękom i zasłudze...

Zarumieniła się Jadwiga; Jan przygryzł wargi; stary musnąwszy wąsa mówił:

— Niemasz tam i poco dążyć, człowiek stérał młode lata na wojaczce, chciałby odpocząć na wsi. Zresztą do kogoż tam spieszyć, kiedy wszystko obce.

— Jakto panie rotmistrzu? więc sądzisz, że sława nie zaniosła do stolicy imienia tak zacnego wojownika?

— Gdzieby tam wiedziano o takiéj lichocie, kiedy tam błyszczą illuminarze.

— Mylisz się panie! wszędzie cenią zasługę, a na dowód tego powiem, że właśnie król mówił mi niedawno, a nie chwaląc się, ma dość do mnie zaufania: „przypomnij mi też na radzie o tym starym Rotmistrzu, o którymeśmy dopiero mówili.“ Była to mowa o waszmości: nie skąpiłem pochwał, bo one się sprawiedliwie należą. Lecz pan mój miłościwy, przerywając mi, powiedział: „Już ja go znam, zawadyacka trochę figura, jak stary żołnierz, lecz dzielny wojak i rycerz prawy.“ To są włane słowa Jego Królewskiéj Mości.

— Dzięki, niech ci Bóg nagrodzi! — i dwie łzy spadły na potężne szpakowate wąsy wojaka.

Zastawiono wieczerzę — stary żołnierz rzekł do gościa:

— Prosim, jeśli łaska; nie znajdziesz tu waszmość łakoci, ani potraw wikwintnych, kwaśno, słono, pieprzno, ale szczerze.... czém chata bogata, tém rada.

Uścisnęli się i siedli do stołu. Starościc posadzony obok Jadwigi, sypał jéj do ucha słodkich słówek krocie, śmiał się, szeptał, dziewcze kraśniało, a uśmiechało się, rotmistrz wąsa pokręcał, Jan gryzł wargi, tarł nogą o nogę i milczał.

Spostrzegł od razu ojciec zajęcie się córką starościca. Pochlebiały dumnemu szlachetce te hołdy młodego pana; już w myśli układał świetne plany i nadzieje i zacierał ręce z radości. Bo rotmistrz poczciwy był w gruncie, jednak dostatki a z niemi i duma osiadły powoli jego serce, przeto pragnął świetnego związku dla córki, a syn starosty nie złą byłby gratką. Jan tylko był ponury, dziwnie mu się kołowiało w głowie, krew wrzała. Biedny zapaleniec! pierwszy raz poznał moc swego uczucia i razem straszne przystępy zazdrości.

Starościc zajadał z apetytem, wypróżniał gęste kielichy, coraz żywiéj palił koperczaki do gładkiéj dziewczyny. Jan od pierwszéj chwili nie spuszczał go z oka, coś fałszywego malowało się na twarzy przybysza, uśmiech szyderczy błysnął czasem i znikał. Stary towarzysz chorągwi, który milcząc, żadnéj nieopuścił kolei, pogladał na Jana, obaj nic nie mówili, lecz rozumieli się, obudwom niepodobał się przybyły.

Kiedy już wychylono kielichy za zdrowie króla, królowéj i biskupa, starym zwyczajem rotmistrz powstawszy, zawołał:

— Zdrowie jaśnie wielmożnego starosty Lachowskiego i jego syna naszego gościa!

Jan podniósł do ust, lecz nietknął ani kropli napoju.

— Zdrowie miłościwego pana rotmistrza i jego anielskiéj córki! — wykrzyknął starościc.

Znów brzękły puchary — tą razą Jan połknął do kropli... Ośmielony, nalał węgrzyna po same brzegi i powstawszy zawołał:

— Cześć poczciwym ludziom, przekleństwo niecnotom! i rzucił iskrzącym wzrokiem po obecnych.

Milczeli, tylko starościc przymrużywszy oka, spojrzał nań przeciągle, groźnie, szyderczo i uśmiechnął się.

Jan poniósł do ust nalaną czaszę, wychylił duszkiem i postawiwszy dnem do góry, skłonił się i wyszedł.

Wieczór był prześliczny, powietrze lekkie, przejrzyste, szerzyło miły zapach do koła. Po dziennym upale, przyroda tchnęła całym blaskiem roskoszy, świeżości; a w sercu Jana było tak głucho, ponuro, strasznie. Pobiegł do ogrodu, by ochłodzić kipiącą krew i wolniéj odetchnąć. Do koła cisza grobowa, bijące tętna w biednym chłopcu mógłbyś policzyć; tylko czasem doleciał szmer raźnéj pogadanki lub głośny śmiech podpiłych biesiadników.

A w pokoju Jadwigi migało światło. Dziewczę modliło się przed obrazem Bogarodzicy; czasem łza cicha, błyszcząca mimowoli, zaświeciła w oku, bo ona wspomniała matkę, któréj już nie było. W sercu osiadła jakaś czczość, niepokój, niekiedy przesunęła się w myśli postać młodego starościca i uśmiech błysnął na chwilę, potém obraz Jana, który tak był smutny, ponury i oko tęsknie obejrzało się około siebie, bo Jan choć nie błyszcząc dowcipem i strojem, lecz niemniéj miły był sercu.

W ogrodzie na ławeczce pod lipą siedział Jan. Czy wiecie wy co to jest samotność i cierpienia? zwłaszcza samotność wśród nocy i kiedy dokoła wszystko oddycha radością, a w waszéj duszy niepewność, zazdrość, piekło, to okropnie! Rozdrażnione uczucie, nawet urojenia w olbrzymich wystawia kształtach, zwłaszcza uczucie człowieka, który pierwszy raz poznał, że ludzi cenią na wagę złota.

Jan nieumiał ukryć tego, co się działo wewnątrz, zresztą przed kim było ukrywać? dla tego też na jego licu wypiętnował się straszny wyraz boleści.

W téj chwili mignęła jakaś postać. Jan porwał się, przed nim stała Jadwiga. Przyzwyczajenie sprowadziło ją w to miejsce, tu Jan chciał swój los rozstrzygnąć.

Pochwycił rękę dziewicy, ścisnął mocno i milczał, słowa zamarły.

— Dla Boga! Janie, co ci się stało? wyjąknęła przestraszona.

— Mój Boże! co mi się stało? ty wiesz co ja cierpię — ale słuchaj Jadwigo, dowiesz się wszystkiego, to nad moje siły.

— Czyś chory? tak dziwnie na mnie poglądasz.

— Tak, chory, bardzo chory, ale to nie choroba ciała, Jadwigo, nie... to boleść w sercu, straszna, dręcząca... bo Jadwigo... ja kocham ciebie.

Wysilony temi słowy, padł na kolana i zwiesił głowę na piersi.

— Nigdybyś tego nieusłyszała, lecz dziś musiałem i teraz u nóg twoich czekam życia lub śmierci!

Dziewczę milczało. Tylko pierś wzdymała się.

Jan głucho jęknął:

— Ha! szalony, długo się łudziłem, teraz już dość... po śmierci mąk większych nie będzie! i spojrzał dziko.

— Niedobry — szepnęło dziewczę — zabijasz mnie!...

Jan zadrzał, potém uchwycił obie ręce dziewicy, przycisnął do piersi i do ust.

— Żyję znowu... Jadwigo! ty nie wiesz com ja cierpiał? Ten młodzik...

Ona wejrzała nań z tkliwym wyrzutem. Jan umilkł, wyciągnął drżące ramiona — i dwie dusze spoiły się w gorącym całunku.

Była to droga chwila, miła, lecz okropna... dokoła samotność i noc... w sercu miłość ognista, szalona... Lecz Jan miał duszę szlachetną, charakter prawy, nieskażony zepsuciem — porwał się i uciekł.

Jadwiga długo jeszcze siedziała na ławeczce, sama, szczęśliwa myślą czystą, niewinną.

A potém wszystko znikło, tylko w komnatce dziewczęcia paliła się lampa przed cudownym obrazem Najświętszéj Panny; czasem dolatywał szmer westchnienia lub cichych modłów, śród których niejedna łza zwilżyła nadobne lica dziewicy-anioła.

II.

Nazajutrz ledwie pierwszym promieniem zarumieniło słońce niwy i gaje, Jan jechał zwolna na wiernym kasztanku do swojéj zagrody. W jego licu, postawie, malowała się ciężka boleść, żal... niekiedy jęczał niezrozumiale. Tylko, że dusza jego zahartowana ciągłą samotnością, w jakiéj żył od dzieciństwa, a razem wzmocniona wiarą, zamknęła w głębi uczucie gorzkie, zagrzebała jak w grobie, a przecież lice ją zdradziło, bo ono nieznało obłudy.

Niedługo Jan był w domu. Stary krewniak przeląkł się na jego widok.

— Święta Panno! cóżto waszmości? jakoś nie po ludzku poglądasz?

Jan uśmiechnął się smutnie, dziko — dreszcz przechodził starego.

— Ależ na Boga żywego! mówże waszmość, co ci się stało?

Jan milczał.

— Już ja to waszmości tyle razy mówiłem: te częste wędrówki, pomiary i zaloty, wszystko nic niewarto. Nie chciałeś wierzyć, masz!... Pewnie zadrwiła z ciebie? — a to dawno powiedziano: „Kiedy mówi białogłowa, pisz na bystréj wodzie słowa.“

— Nie mówcie tego Jędrzeju.

— Co? może jéj bronić będziesz?... ba, już to takie miękkie serce. Ale cóż ja tam będę prawił... czy to mało nakładłem w głowę za każdą razą? Masz teraz twojego anioła, twoją...

— Nie drażnijcie mnie, Jędrzeju, ona niewinna.

— Toś waszmość winien.

— O! tak, ja winienem, pocom się piął tak wysoko, jednak sercu nie nakażesz, a ona...

— Ależ co waszmość prawisz, na Boga! nic nie rozumiem.

— Jędrzeju, ona ma ojca!...

— I cóż z tego?

— Ten ojciec jest rotmistrzem!

— Albożto waszmość niedobry szlachcic herbowy? zresztą cóż za wielka figura Pan rotmistrz? Mospanie szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie, nietylko rotmistrzowi.

— On bogaty.

— A waść tylko szlachcic zagrodowy, to przepomniałem. Oj! zła sprawa z temi półpankami! mój Boże, jak cię łudził...

— Nie, ja się sam łudziłem, on niewiedział o niczém, niedomyślał się niczego. Dziś powiedziałem mu wszystko, jako prawy szlachcic, prosiłem go o rękę Jadwigi — i cóż myślicie odpowiedział? — na miłość Boga, gdyby kto inny, drogoby okupił swe słowa: „Janie czyś zmysły postradał?“ „Ona mnie kocha“ mówiłem. „Przywidzenie“ odrzekł. „Nie możemy żyć bez siebie.“ — „Nic z tego niebędzie“ odpowiedział dumnie i wyszedł. Tego było dosyć.

— Tfu! do licha, że bogatszy, gardzi poczciwym zagrodowcem. — Stary zmarszczył czoło, zaperzył się. Jan milczał smutnie

— A teraz Jędrzeju — rzekł Jan po chwili — czy wiecie co teraz?...

Jędrzéj spojrzał mu w oczy.

— Masz ty wiarę w Bogu? — zapytał.

Nie obawiajcie się, Jędrzeju, ja się nie zabiję, mnie zgryzota zabije, bo tego nadto.

Jędrzéj chodził chwilę po izbie, mruczał, machał rękoma, nareszcie jakąś myślą natchniony, zawołał:

— Będzie twoją. Pókim mógł, odradzałem waszmości te zaloty, teraz widzę, że cię zaprawdę bies najechał... nie ma rady.

Jan spojrzał zdziwiony; staremu iskrzyły się oczy, ściskał pięście i mruczał.

— Tak to na świecie! dał Pan Bóg kawałek chleba, zaraz coś lepszego. Przecie i nam go nie braknie przy pracy i łasce bożéj; jakem Jędrzéj Kosterniak, musi być twoją, jeszcze nasze szabliska nie stępiały. Poczekaj tu waszmość i miéj dobrą otuchę.

I stary wybiegł, była to właśnie niedziela.

Po nabożeństwie szlachta zagrodowa, a na czele Kosterniak, poszła swym zwyczajem z kościoła do żyda Jankla.

— Miodu! wykrzyknął Jędrzéj.

Postawiono dzban lipczaku.

— Zdrowie szlachty! na całe gardło zawołał stary i prosił po kolei.

Szlachta dzielna do kielicha niedała się prosić dwa razy. W mgnieniu oka dzban był próżny. Postawiono drugi trzeci — miód znikał.

Rozweselona szlachta pod niebo wynosząc starego Kosterniaka, piła, gwarzyła, krzyczała, brząkając szablami i podkówkami, aż żyd przelękły uciekł do komory.

Zmiarkowawszy niepróżne głowy i przychylne animusze braci, Jędrzéj wskoczył na stół, zdjął czapkę, pomusnął kurzącéj czupryny i wąsa i zawołał:

— Bracia mili! wiecie, iż szlachcic każdy *honoris sui* krew przelać powinien, et jednego *injuria omnes* obowiązuje. A tu są tacy, którzy niemają należnéj *estymy* dla naszego szlacheckiego honoru.

Stary pokręcił wąsa z radości i palnął dalszy ciąg oracyi, naszpikowanéj sporą miarą łaciny. Jużto wtedy i ustało użycie łacińskiego języka, którego miejsce francuzczyzna zajęła, jednak niemal każdy zagrodowy szlachcic musiał trochę umieć łaciny i pysznił się z tego.

(Dokończenie nastąpi.)

Nieco o jarmarku Berdyczowskim.

(Dokończenie.)

Ciekawém jest widzieć tabuny (stada) koni tatarskich i łowiących je Tatarów. Kupiony koń, wskazuje się konnemu Tatarowi, wprawionemu wraz z koniem swoim do pewnego rodzaju łowów. Wnet Tatar wpada w środek tabunu, płoszy go, rozpędza, i wybrawszy dogodną chwilę, ciska włosienny stryczek na swą ofiarę. Rzadko on chybia celu. Złowiony koń miota się na wsze strony i wikła w rozpuszczony powróz, aż oplątany padnie na ziemię. Jak jastrzębie spadają nań natychmiast Tatarzy, osiadają szyję, głowę, boki, nakładają obrotię z długim powrozem zostającym zawsze w ręku konnego Tatara i tak puszczają do biegu. Dopiero koń poczuwszy się wolnym w nogach, zrywa się nagle, parska, wierzga, wstrząsa się — i leci do stada.... ale powróz przeciągnięty na siodle pod nogę i trzymany silną Tatara ręką osadza go na miejscu. Tu zaczyna się pasowanie wzajemne. Koń rwie się, wspina, pada, zrywa, zabiega, napręża, dobywa sił wszystkich i wszystko naprożno. Nieporuszony Tatar jak skała stoi na miejscu i tylko śledzi wraz z swym koniem bystre rzuty zwierza, ażeby w kierunku szarpnięcia stawić opór. Jest to najbardziéj interessujący moment walki, wszakże trwa ona niedługo. Wkrótce pot oblewa wszystkie członki ujarzmionego zwierza: drży on cały, robi bokami mocno, czerwone nozdrza rozdymają się szeroko, zabiegłe krwią oczy błyszczą jak żar i krew płynie przez pysk, nozdrza i uszy. Koń tak ujęty wygania się w ten moment z zagrody i okładany gęstymi razami kańczugów, pędzi na przeznaczone miejsce poprzedzany przez Tatara na koniu, wołającego na tłumy ludu, by ustępowały z drogi. Bywają dość częste zdarzenia, iż przed oswojeniem go, w tych gwałtownych rzutach pada i zabija się na miejscu.

Prawdziwi amatorowie konnéj jazdy nieużywają tu jak gdzieindziéj anglizowanych wierzchowców, ani angielskich siodeł, ani nawet maneżowych koni; — lecz za to widzieć ich można na dzielnych tatarskich, dońskich lub czerkieskich koniach i czerkieskiém siodle. Jest w tém coś więcéj wojowniczego — wolnego — najezdniczego. Kozaczyna granatowa, szerokie szarawary, srebrem nabijany pasek, imponująca czapka, trzymanie się nadewszystko niby niedbałe, pochylone na bok z lekkim przełomem figury w pasie, charakteryzują jeźdźca. Kto ten sposób jazdy wiernie przejąć umie i ma rycerską minę — jest to postawa djable imponująca. W tém niedbałém, lecz pewném złoże-

niu się, w tém lekkiém przechyleniu się na siodle, w tém spojrzeniu dumném i pewności z jaką kieruje koniem — rozumiesz syna stepów dla którego koń i walka stały się jedynym żywiołem. Trzeba przyznać, iż nasi amatorowie czerkieskiéj jazdy doskonale przedstawiają ten malowniczy typ najezdnika. Konie mają ujeżdżone zupełnie po czerkiesku — lekkie — postawy śmiałéj, lecz nie wdzięczącéj się jak angielskie, bywalce w kursach i myśliwskich gonitwach. Siodła z bogato nabijanymi guziczkami i ze wszystkiemi przynależytościami wschodniéj okazałości.

Bardzoby się omylił, ktoby z ciasnych i brudnych ulic Berdyczowa, albo z jego malenkich, ubogich sklepików, wnioskował o handlu tego miasta. Znajdziemy w tych składach to wszystko, czego potrzebujem z wyrobów zagranicznych. Ubogi sklepik z drewnianą ścianką, albo jakiś ciemny zakątek staréj kamienicy, mieści częstokroć w sobie najpiękniejsze wyroby Paryża i Londynu, a po obejrzeniu onych, przekonywasz się, iż te na pozór błahe sztuczki mają w obrocie kilkadziesiąt-tysięczne kapitały. Prawda, iż żydzi nie każdemu i nie zbyt chętnie pokazują zagraniczne towary; może w tém mają swoje przyczyny, może i to powierzchowne ubóstwo jest umyślne.

Nakoniec po kilkogodzinném wałęsaniu się tu i owdzie śród koni, powozów i ludzi, a nadewszystko żydów, stanowiących w tym obrazie tło główne, pragnąc wytchnienia i pokarmu, zaczynasz polować na szyldy. Nie tak to tu wiele traktyerów, a najlepszy z nich ma być Bellota. Jest to redenz-vous Baragołów, tam nakoniec grają arfiarki — idziemy tedy do Bellota.

Bellot usługuje najniedbaléj, ale każe sobie płacić najdrożéj — znajdziesz więc tam kwiat jarmarkowego towarzystwa. Gwar, śmiechy, hałas, pękanie korków, brzęk talerzy, uwijanie się zakłopoconych lokai i całe szwadrony djabłów posyłanych w ślad za nimi z polecenia ogłodzonych żołądków — oto jest opis traktyerni Bellota w kilku słowach. Z tego chaosu dysharmonii, dobywają się niekiedy dźwięki arf i najdoskonaléj prezentują sobą coś pędzącego, skaczącego przez środek wzruszonych żywiołów. Młode, ładniutkie arfiarki ,gdzieś indziéj niesą żadną szczególnością, tutaj zaś przybierają własność magnesu. Wytrawni Baragoli zalecają się im bliżéj i familiarniéj, ale to kosztuje ich drożéj. Kajecik nót zwykle zapełnia się dukatami i pecami przy każdéj kweście, a ponieważ uśmiechy kwestarki nie kosztują w istocie tyle, ile przynoszą zysku, więc recitativa bywają dość częste. Dla tém większego kontrastu, pewien jegomość z krwią najzimniejszą, uroczyście i wszem w obec, położył na nótach dużego miedzianego piętaka. Była to lekcja bardzo w porę dla naszych paniczów; bo jakkolwiek by wmówić w nas starano się, iż te pece tak przepełniają kieszeń, że nie stanowią w niéj różnicy, wszakże moglibyśmy wskazać tyle świętych, szlachetnych i moralnych celów, na które wyłożona ofiara o ile jest konieczną, o tyle potrzebną i piękną. Literatura, sztuki, kraj, chłopek, tak u nas potrzebują wsparcia — tyle im winniśmy — a dla czegoż ta hojność ma tam być niewzględną, a gdzie mogłoby się bez niéj obejść, tam sypie garścią złoto? O gdyby nasze prowincje zastanowiły się choć raz nad płochém marnotrawstwem dochodów swoich i nadały im kierunek właściwszy — byłaby ztąd korzyść ogólna stokroć większa i opinija o nas korzystniejsza.

Łapiemy właśnie publiczność naszą na uczynku. Podczas jarmarku przejeżdżał właśnie przez Berdyczow młody, pełen talentu skrzypek, nasz rodak, chociaż noszący cudzoziemskie nazwisko, Antoni Parys. Tygodnik nic podobno dotychczas niemówił o nim, lecz gazety warszawskie, a nadewszystko zagraniczne, odzywały się o jego koncertach bardzo chlubnie. Jest to jeden z tych niewielu młodzieńców, którym tyloliczne przykłady nie potrafiły wmówić, że nie u nas trzeba zarabiać na imię, że chociażby on był Paganinim, lecz skoro bez przywilejów zagranicznych, to go przez jedno uprzedzenie lekce ważyć będziem, jedném słowém, że niemamy jeszcze wyrobionego powszechnie artystycznego smaku, ażebyśmy sąd swój własny, niezależny dać mogli, lecz zachwycamy się za słowo zagranicy. Na nieszczęście imię jego niemiało jeszcze stamtąd rozgłosu, a wzmianki gazet kilku, chociaż były bardzo zaszczytne, lecz mało czytająca nasza publiczność niewiedziała o nich nic wcale. Nic by to nie znaczyło, jeślibyśmy studjowali i kochali muzykę jak Włosi, a przynajmniéj jeślibyśmy mieli w niéj zamiłowanie jak w psach albo koniach — poszlibyśmy na koncert, posłyszeli artystę — i ocenili grę jego. Wszak są konne jarmarki, kiedy są amatorowie, a czemuż niemogłyby być koncertu, jeśliby nie brakło znawców? Koniec końcem, Parys zawiódł się bardzo na naszém muzykalném uczuciu.

Jakkolwiek chcielibyśmy lekceważyć ten smak publiczności naszéj, wszakże w smutne on nas pogrążył myśli... Bez pojęcia i rozmiłowania się ogółu w tém wszystkiém co nosi znamię piękna, ja nigdy nie przypuszczę ażebyśmy zostawali na prawdziwéj drodze. Pojąć, ukochać to co jest pięknem, znaczy już poniekąd samemu być pięknym, mieć tę ideę w sobie, nią żyć — i przez jéj pryzmat patrzeć na świat. O! kiedyż ją tak wcielimy sobie.

ROZMAITOŚCI.

Z Paryża. Cesarz August powiedział razu pewnego, że pozostawi Rzym z marmuru, nasi spółcześni pozostawią Francyą z gipsu, piaskowca i bronzu, wszędzie posągi, wszędzie pomniki! O odłamie kamienia już nie mówią: będzie to bożek, ale, będzie to obywatel. Karara niczego już nie dostarcza, wszystko sprowadzamy z Pireneów, góry, w których odrywają łomy, rodzą że tak powiemy, niepoliczone mnóstwo myszy politycznych, wojskowych i literackich. Otaczamy siebie na wyścigi ludnością milczącą, pomiędzy którą znajdujemy wielu bajecznych bohaterów, których sława nie wynurza się z za mgły mytów. Dawniéj rylec służył pamięci zgasłych uwieńczonych sławą, teraz zaś zmarłym posługuje, którzy właściwie nigdy nie żyli, i żyjącym, którzy bezustannie gniją. Drobiazgowość już dzisiaj staje się nieśmiertelną, za drobną rzecz odlewają posągi z miedzi. Medale już nie wystarczają, kochają się teraz w proporcyach i postawach bohaterskich. Widzieliśmy brzydkich sędziów miejskich w greckiéj naturalności Antinousów i lichych urzędników administracyjnych w postawie telamońskiego Ajaxa, ciosanych z piaskowca. Chłopców w kawiarniach dotąd tylko daguerotypują, ale fryzierów i dentystów unieśmiertelnionych widzimy w popiersiach i posągach. Żaden ze znakomitszych mężów niedostanie się na piedestal, bez pigmejczyków, dziś nieśmiertelnością sypią jak rabatem kupieckim. Któreż miejsce nieznane nie wystawiło posągu jeszcze mniéj znanym swoim wielkim mężom? Skoro taki bohater wyrasta z ziemi naszéj, wojska paradują na około posągu, palą ognie sztuczne, stawiają maszty z flagami, urządzają uroczystości, miewają mowy, grzmią w trąby i bębny, piją i jedzą, a wszystko na cześć ludzi, coby dobrymi byli wprawdzie kapralami, zaszczytnymi sędziami wiejskimi, lub małymi bankierami swojéj okolicy, ale na których widok unieśmiertelniający, śmiać się będą nasi potomkowie. Niestety! czasy ostatnie przedstawiają nam mnóstwo takich przykładów. Niejaki Bouet, Klimberger podobne mają pomniki, jakie wystawiono Napoleonowi.

— Ożeń się lub umieraj. Pewien młodzieniec w Cork był przez dziesięć lub jedenaście miesięcy bardzo zajęty młodą panną i pozyskał jéj wzajemność. Dla ukończenia swych nauk udał się do stolicy i oddalił się bez oświadczenia grzeczności lub przyrzeczeń małżeńskich pannie młodéj, któréj składał kadzidła. Czyli w czasie rozdziału tego pisywali do siebie kochankowie, nie wiemy, czas przeszedł, a młody panicz powrócił do domu. Nie kwapił się też odświeżyć dawniejszéj znajomości, ale pewnego poranku, kiedy jeszcze w łożu spoczywał i dumał, doniesiono mu, że jakaś osoba obca życzy sobie z nim mówić. Ubrał się spiesznie i postrzegł, że wchodzi do niego brat swéj panny, któréj składał hołdy; po krótkiém pozdrowieniu oświadczył mu, że przychodzi z zapytaniem czyli z długu swego chce się uiścić względem siostry jego. Panicz zaręcza, że nigdy swéj ręki nie przyrzekał pannie, nawet jéj serca swego nie poświęcał, a tém mniéj ją obraził lub uszkodził. Nic nie pomogło, wezwał go do oświadczenia tego w obec siostry jego. Młodzieniec przystał na to i udał się do pomieszkania panny. Jakież było jego zadziwienie, gdy obaczył tam duchownego protestanckiego, gotowego do pobłogosławienia małżeństwa, na które nie przystawał i zgromadzonych krewnych panny. Na stoliku leżały pistolety. Cóż to znaczy? Wkrótce go objaśniono. Nie tylko zakłóciłeś spokojność duszy panny, powiedziano mu, ale nawet pozbawiłeś ją dobréj sławy, musisz się żenić natychmiast, albo skutki ponieść oporu. Wskazano na pistolety. Nie zważano wcale na jego zaklinania się, nie uwierzono, że tylko składał jéj hołdy grzeczności. Nie chcąc się nakoniec wystawić na nieprzyjemności, zezwolił na małżeństwo. Duchowny pobłogosławił małżeński związek i oddalił się; ponieważ pan młody był katolikiem, a narzeczona protestantką, przeto i katolicki ksiądz dokonał z swéj strony formalności. Teraz widząc się obarczonym więzami małżeńskiemi, stracił siły i padł bez zmysłów. Nareszcie przyszedł do siebie i nie przeszkadzano mu powrócić do domu. Dziś zaniósł skargę do sądu o gwałt dokonany i w krótce dowiemy się kto ma słuszność?

— Britania, pismo angielskie zamieściło wszystkie bankructwa, które od Sierpnia połowy do Września w Londynie się wydarzyły i wynoszą niezmierną summę 8,998,000 funt. szt. czyli 62,986,000 tal. Dwa największe wynosiły 1,500,000 i 800,000 funt. szterlingów.

— Przed trzema tygodniami rozchorowała się córka pewnego starego żołnierza w W., i przyniesiono ją do lazaretu. Starzec często ją odwiedzał i dowiedział się nakoniec, że umarła. Zebrał ostatnią chudobę i pochował zmarłą córkę swoją. Po upływie dni czternastu, kiedy matka jéj zatrudnioną była robotą domową, otwierają się zwolna drzwi, wchodzi do izby krokiem słabym, wybladła i wychudzona jéj córka zmarła i zawołała: matko! — Nie wchódź! nie wchódź! krzykła matka przestraszona, ciebie ojciec przecie pochował po chrześciańsku! Matka

z przestrachu nareszcie padła bez zmysłów. Przyszedłszy do siebie, postrzegła, że gość niemiły jeszcze siedzi w izbie, wstała i pobiegła do męża, wołając: na górze u nas siedzi córka nasza, którą pochowaliśmy przed czternastu dniami. Starzec zdziwiony pobladł i stanął jak wryty, i dopiero kiedy sąsiedzi nadbiegli, udał się z nimi na górę. Tu przekonał się, że siedząca osoba w izbie rzeczywiście jest córką jego żyjącą, lubo słabą. Z opowiadań zaś córki okazało się dopiero, że w lazarecie leżała oboko staréj innéj kobieciny, która miała równe z nią imie i nazwisko i ta umarła. Ztąd powstało nieporozumienie i przestrach.

— Buddeus opisuje lazarety petersburgskie, w których surowa karność panuje. Za najmniejsze przewinienie przeciw przełożonym surowa kara następuje. Zachowują w nich etykietę do najwyższego stopnia. Jeżeli przełożony wchodzi do sali, a chorzy nie leżą w łożu, natenczas każdy z nich stawa obok łoża w równéj połowie od stóp i od głowy. Jeżeli przełożony zawoła po imieniu na chorego, ten stawa przed łożem, trzymając się prosto według przepisu. Powinien mieć na sobie ubranie szpitalne zupełne. Jeżeli chorzy przechodzą się po ogrodach lub gankach, stawają po żołniersku i z odkrytą głową, skoro starszy obok nich przechodzi. Porządek i czystość w tych lazaretach jest rzeczą najwyższą, podrzędną zaś sposób leczenia i obchodzenia się z chorymi.

MODY.

Paryż, dnia 9. Listopada 1847.

Wiadomości najpewniejsze o modach nowych zimowych są następujące:

Suknie. Kształt stanika i rękawów mało się zmienił, tylko zaprowadzono niektóre odmiany w wystrojeniu.

Suknie na wzięcie ozdobniejsze robią z aksamitu, orzucają je niestrzyżonym aksamitem, koronkami w połączeniu z kokardami wstążkowemi. Te ozdoby są bardzo rozmaite, jedne tworzą liście, oszyte w atłas, drugie nakształt szerokich muszli umocowanych kokardami lub guzikami tak lekkiéj roboty, że się haftem być wydają. Wystrój ten wygląda bardzo suto i odpowiada kosztownym tkaninom zimowym.

Suknie z lekkich tkanin, np. z szkockiego kaszemiru, orzucają paskami ukośnemi, bez żadnych haftów i ozdób. Z przodu aż do dołu są takie suknie zahaftowane jedwabiem w wężykowatych wzorach i ozdobione wycinanym aksamitem. Haft przytém bardzo dobrze wygląda.

Maleńkie paski aksamitne zakładane jedne na drugie w stopnie i piękne borty aksamitne ujęte w guziki aksamitne stanowią dwa rodzaje ozdób przeznaczonych do szlafroczków.

Między nowemi tkaninami odznaczają się piękne kastory w atłasowe paski lub kratkę, pasiaste lub damaskowane popeliny, które porównać można z najpiękniejszemi jedwabnemi materjami, a nakoniec repsy w wielkie bukiety, z girlandami róż we wszystkich kolorach i damaskowane pekiny.

Kapelusze téj zimy są w ogólności małe i różnią się od przeszłorocznych o téj saméj porze, okrągławą i wygiętą formą obwodu, i półokrągławą główką.

Kapelusze do wyśmienitszych ubiorów są z aksamitu z pięknem piórem i kilku atłasowemi agrafami, które się kończą z boku w kokardę wstążkową. Brzeg wewnętrzny obwodu jest czterema rzędami osadzony, które są w dwóch różnych kolorach.

Piękna koronka lub piękne pióro z boku jest jedyną niemal ozdobą zewnętrzną kapelusza aksamitnego, ktory sam przez się jest okazały i wymaga jak najprostszéj ozdoby.

Na pół-strój robią kapelusze z niestrzyżonego aksamitu z wystrojem z podobnéj tkaniny, tak jednak, że tworzy podwójne końce opadające z każdéj strony obwodu. Końce te lub zęby oszywają w aksamit i w guziczki osadzone w sznurek. Zamiast takich kapeluszy noszą téż ściągane kapelusze atłasowe, półgirlandą w tymże kolorze ozdobione, pomiędzy którą mięszają się koronki czarne.

Pomiędzy płaszczykami najwięcéj się podobają armeńską formą robione, kibici z tyłu niemają zaznaczonéj, bo prosto opadają, nie są ani mantyllami, ani paletotami, ale do obydwóch nieco są podobne.

Objaśnienie ryciny.

1. i 3. Ubiór dzieci.
2. Kapotka atłasowa z zasłoną; suknia z włoskiéj kitajki; mantylla kaszemirowa oszyta fręzlą i sznureczkiem.

Redaktor N. Kamieński. Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki.